WZLOT SERAFICKI

MIESIĘCZNIK REDAGOWANY
PRZEZ
KLERYKÓW OO. KAPUCYNÓW
W
KRAKOWIE

R. III.

1937 - KWIECIEŃ - No 4(18).

T R E Ś Ć   N U M E R U :

Skład redakcyjny:
Fr. Fidelis, redaktor
Fr. Wenanty, czł.kom.liter.
Fr. Zdzisław, " " "
Fr. Przemysław, sekr.Red.

Wykonawcy:
Fr. Hilary - proj. i wyk. okładki, oraz ilustracje, napisy i ozdoby wewnętrzne.
Fr. Wiesław, fr. Erazm, fr. Włodzimierz - wykonali technicznie całość na powielaczu syst."Ormig".

O D B I T O   J A K O   R Ę K O P I S



"Musimy być gotowi..."

"Czasy nadchodzą ciężkie. Nie wiemy, co nas czeka. Wypadki zwiastują zbliżanie się chwili przełomowej. Musimy przeto być gotowi do walki o zasady Chrystusowe". Takie mniej więcej słowa padły z ust Przewielebnego O. Mariana na pewnym okolicznościowym przemówieniu.

Że czasy niepewne, to jasne. A że nie wiemy, co nas czeka, to także nie podlega dyskusji. Trąbi się więc dzisiaj na alarm. Hasłom socjalistycznym, komunistycznym, masońskim, neopogańskim, jednym słowem - hasłom antychrystusowym przeciwstawia się, a raczej zaczyna się przeciwstawiać ideały chrześcijańskie. Przeciwko obozowi pogańskiemu wytacza się tarany aktywnego katolicyzmu. Patrząc na stosunek tych dwu potęg, będzie można z całą słusznością powiedzieć - tertium non datur.

Kościół sprawy nie zasypia. Stara się zapełnić szeregi swych kadrówek jednostkami zdecydowanymi. To da się osiągnąć przez uświadomienie i urobienie charakteru członków. Z pośród nawału różnorodnych zagadnień na pierwszy plan wysuwa się dziś wołanie o tak zwany "katolicyzm dynamiczny".

Dynamika, jak to każdy przyzna, jest dosyć nudna, lecz równocześnie jest nauką głęboką a czasami nawet subtelną. Patrzmy na przykład. Dwie kule

zderzają się. Odskakują od siebie, lecz zostawiają skutek zetknięcia zwany w języku fizycznym "odkształceniem". I im mniejsze odkształcenie wyrządzą sobie nawzajem, z tym lepszego materiału są utworzone czyli tym lepsze są ich "własności dynamiczne". Po pewnym czasie kule wracają do dawnej formy. Mówi się wtedy, że są sprężyste. Tajemnicę sprężystości tłumaczy się tym, że między cząsteczkami danego przedmiotu działają "siły międzycząsteczkowe", które nie pozwalają na zmianę położenia pojedynczych drobin, a pośrednio całej materii.

Spróbujmy przenieść tę teorię w środowisko religii. Zauważymy przynajmniej pewne podobieństwo między nią a dążnościami katolicyzmu dynamicznego. Gdy się mówi o katolicyźmie dynamicznym ma się na myśli utworzenie frontu o podstawach niezmożonych. Chodzi tu, by jednostki, z których składa się Kościół katolicki, uświadomił sobie ową siłę międzycząsteczko - wą", tworzącą z pojedynczych istot jedność obozu katolickiego. Siłą tą są ideały Chrystusowe. Celem właśnie działalności Kościoła jest ożywienie tych ideałów, wszczepienie ich wżycie, urobienie charakterów tak, by one stały się probieżrm działalności wszę - dzie i zawsze. Hasła chrześcijańskie nie powinny pozwolić na zmianę postawy i zapatrywań moralnych pod wpływem czynników zewnętrznych, a tym samym zadaniem ich jest - wytworzyć ową "sprężystość" całego organizmu.

Nawoływania dzisiejsze żądają także dynamizmu w życiu wewnętrznym samych jednostek. Od raz obranych zasad nie wolno odstępować ani na krok. Nie ma tutaj mijsca na żadną połowiczność, bo ona jest najwię - kszym wrogiem "sprężystości" duszy. "Siła międzycząsteczkowa" działań ludzkich musi być tak wielka , by nie pozwoliła na żadne "odkształcenie".

Takie zapatrywania powinny przeniknąć do głębi przede wszystkim umysł młodzieńczy. Wszak w tym okresie myśl waha się, szuka nowych dróg, porzuca często dawne wytyczne postępowania i niekiedy bywa, że człek w starości klnie i złorzeczy na swoją młodość. Wyrabianie charakteru stałego w rozwoju młodocianym jest rzeczą nader ważną, tym więcej że: "czasy niepewne, a my zawsze "musimy być gotowi do walki o święte zasady Chrystusowe".



Wiosna...

Jest wiosna! Wiosna piękna, słoneczna, wesoła. –
Aromat ziemi świeżej, pulchnej, wyleżałej
roznosi się daleko, szeroko – dokoła...
Powietrza dzwony kryształne w rytm się rozdrgały
falami przeźroczystych, złocistych warkoczy.
Świat się złoci, zieleni, rozsrebrza i mieni –
barwnym wachlarzem pawich piór czaruje oczy.
Skowronki – stalne gwoździe wbite w tło przestrzeni,
w błękicie zawieszone małe, szare grudki –
przędą jedwabne włókna wiolinnych melodyj.
Z traw wdzięczą się w bieluśkich koronkach stokrótki.
W dolinach leżą lustra czystej, lśniącej wody. –
Pąkowiem pękają drzewa. Gałązek ręce
wznoszą do słońca i chwiejnym modlą się szeptem,
w błogosławieństwie cichym i kornej podzięce...
Krągłe, puszyste bazie, które znacznie przedtem
wyjrzały z łodyg – grzeją swe buzie dziecięce.
Budzą się złote muszki, robaczki, biedronki...
Pachnie wszystko. Słońce, powietrze, pola, łąki.
Zdala od lasów płynie mocna woń żywiczna...
Tak – jest wiosna! Rozkoszna, radosna, prześliczna! –

Nap K.Y.

POKŁOSIE MĘCZEŃSKIE

/HISZPANIA/

W drugim numerze "Seraphisches Weltapostolat" zamieszczona jest publikacja prowincjała Andaluzji o zamordowaniu siedmiu kapucynów, członków prowincji Andaluzyjskiej, którzy ponieśli śmierć w Antequera. Pismo to daje możność głębszego wglądnięcia w krwiożerczą szał komunistów, a z drugiej strony daje obraz wzniosłej ofiary naszych siedmiu współbraci.

"Moi kochani i czcigodni Bracia!"

"W zamęcie, spowodowanym ponownymi zamieszkami w ziemi hiszpańskiej, gdy w dniach kilku dokonało się to, co w przeszłości kosztowało wieki, gdy oto cała stara, katolicka Hiszpania porwała się do obrony ojczyzny i przywrócenia w niej królestwa Chrystusowego pokoju, do walki przeciw własnym rodakom, pozostającym w haniebnej służbie pod rosyjskim knutem, ja, jako duchowny przełożony i wódz zastępu duchownych rycerzy naszej Andaluzyjskiej Prowincji, jako hasło dnia dzisiejszego ogłosić muszę chwalebną śmierć siedmiu kapucynów, którzy zniósłszy ofiarnie krwawe katusze w Antequera, przeszli do szczęścia wiecznego. Cześć i sława naszym siedmiu bohaterskim współbraciom, którzy w świętej walce za Boga i ojczyznę ponieśli śmierć, otoczeni aureolą chwały. Są to: o. Anioł z Canete, o. Ludwik z Walencjiny, o. Egidiusz z Puerto, o. Ignacy z Galdacabo, br. Józef z Chanchiny, br. Pacyfik z Rondy, oraz br. Kryspin z Cuevas.

"Mówiąc słowami liturgii kościelnej, są oni świętymi mężami, którzy ofiarowali swą drogocenną krew Panu; przez czas życia swego miłowali Chrystusa, idąc za Nim aż do śmierci, i dlatego zasłużyli sobie na koronę chwały. Ożywiał ich jeden duch i jedna wiara. Obcą im była trwoga przed katowskimi mę-

kami, w Imię Zbawiciela wyszli naprzeciw śmierci, aby się stać dziedzicami Domu Pańskiego. Za Boga oddali wśród mąk swe życie i w ten sposób wysłużyli sobie koronę wiecznej chwały".

"Do głębi wstrząsnęły nami bolesne wypadki, które dziś wieść rozgłasza ze wszystkimi tragicznymi szczegółami.

Dwa są przeciwne uczucia, przenikające dziś nasze serce. Najpierw uczucie ostrego bólu z powodu utraty siedmiu członków naszej Prowincji, których ciężko będzie zastąpić innymi; nadto widok naszego Seminarium Serafickiego, leżącego w ruinach, domu, zajętego przez komunistów, widok świętych, zbeszczeszczonych wizerunków - dalej doszczętnie zrabowany klasztor i rozproszenie kapłanów, braci i seminarzystów - to wszystko pod znakiem zapytania stawia naszą przyszłość. Wobec ruin dzieła naszego życia, jedynie pamięć na Zbawiciela może nam dodać odwagi i siły, aby od nowa, natychmiast i bez wahania, ze świętym zapałem podjąć dzieło odbudowy naszego seminarium. Drugie uczucie - to święta radość; jest to radość z zapłaty i zaszczytu najwyższego i najpiękniejszego, jaki Bóg uczynić może Prowincji, przyjmując dań krwi siedmiu bohaterów - męczenników. Oni to przygotowali purpurowy kobierzec pod stopy Zbawiciela, który wnet przyjdzie, aby odzyskać swoje królestwo w Hiszpanii.

K R W A W E   W Y P A D K I

Ważną będzie rzeczą podać szczegółowo okoliczności, w jakich rozegrał się krwawy dramat. W tym celu przytaczamy dosłownie opowiadanie nacocznego świadka, jednego znaszych współbraci.

- 19 lipca podpalono w Antequera kilka domów bogatych obywateli. Był to wstęp do rewolucji. Kilka dni później trzynaście ofiar rozpoczęło szereg mordów, którym kres położyło dopiero nadejście oddziałów wojsk narodowych. Pierwszymi ofiarami spośród duchowieństwa byli: 1 kapłan trynitarz i 1 ksiądz świecki. - Odtąd jakiś wewnętrzny głos mówił nam, że ręka Boża zerwie również kwiaty z Franciszkowego ogrodu. Aby godnie za-hartować się do walki, wypowie-

dzianej nam przez rewolucję, o ile możności ograniczyliśmy nasze świeckie zajęcia. Wszystkie myśli zwróciliśmy ku ołtarzowi. Przed świętym trybunałem pokuty zawarliśmy pokój z naszymi sumieniami, przed ołtarzem zagrzaliśmy serca do bohaterskiej walki na polu chwały, które nam Zbawiciel raczył wskazać jako bolesną drogę krzyżową w celu wyswobodzenia Hiszpanii spod jarzma marksistów.

Byliśmy całkowicie odcięci od świata. Nie odwiedzała nas ani jedna dusza. I tak życie nasze obracało się tylko dookoła Jezusa Chrystusa i Jego Najśw. Matki, a równocześnie w szczupłej naszej rodzinie coraz silniej zacieśniały się więzy bratniej miłości. Czuliśmy się, jak czuć się musiał Zbawiciel na Górze Oliwnej, i ustawicznie wybiegaliśmy myślami na oczekujący nas szlak krzyżowy.

Rewizja, przeprowadzona u nas przez osławionych komunistów, nieszczędzących nam najordynarniejszych obelg, dała nam przedsmak okropnego losu, jaki nam gotowała najbliższa przyszłość. Banda złożona z trzydziestu uzbrojonych marksistów, zajęła klasztor i seminarium, wdarła się do sypialni i zrabowała pościel. Potem kazano zebrać się wszystkim kapłanom i braciom i oprowadzono ich w eskorcie po całym klasztorze jakoby w poszukiwaniu za bronią, ukrytą rzekomo przez nas.

W kościele natknęli się zbirowie na br. Kryspina, modlącego się u stóp ołtarza Marii i pobili go ciężko. Następnie rzucili się na o. Ignacego, zelżyli go dotkliwie a w końcu wywlekli obydwu do ogrodu i postawili pod murem, aby ich rozstrzelać. Dzięki sprzeciwowi kilku umiarkowanych nie doszło jednak narazie do egzekucji. W międzyczasie sponiewierano i pobito okrutnie o. Anioła.

O. Ludwik chciał wyjść przez okno, spadł jednak i złamał nogę. Kilku ludzi z Czerwonego Krzyża sprowadziło nosze, aby go odstawić do lazaretu. W drodze wszakże otoczyła ich czerwona tłuszcza, robiąca wrażenie dzikiej hordy. Wśród wycia i krzyków: "Zabić go!" oraz odgłosu trąb zmuszono tragarzy, by nieśli nosze głównymi ulicami do miasta. Tam zrzucono go z noszy; o. Ludwik padł na kolana i modlił się: "W ręce Twe, Ojcze, oddaję duszę moją". Zgraja odpowiedziała mu szyderstwami, poczem o. Ludwik

przeszyty kulami runął na ziemię, a dusza jego wzniosła się wzwyż po zapłatę.

"Kilku z naszej rodziny próbowało ratować się ucieczką.

Br. Pacyfika, który odważył się wyjść na ulicę, otoczyli czerwoni i chcieli go odstawić do więzienia. W drodze jednak, w pośrodku głównej ulicy zamordowali go w straszny sposób.

"Tak nadszedł dzień chwały: Dzień Przemienienia Pańskiego. O godz. 3 m.30 rano zatrzymał się przed klasztorem wóz ciężarowy; czerwony motłoch nie chciał czekać godziny, naznaczonej przez wydział rewolucyjny. Ponieważ jednak milicja, strzegąca nas nie otrzymała żadnego rozkazu, stąd też, Bogu dzięki, mogliśmy raz jeszcze uczestniczyć w Ofierze Ciała i Krwi P. Jezusa, łącząc z Nią ofiarę naszego własnego życia - jako obiatę błagalną o ratunek ojczyzny; modliliśmy się również i za tych, którzy na mocy Boskiego wyroku kulami mieli nam otworzyć bramy nieba.

"Nie mogliśmy nic prawie jeść, bo myśli były raczej w niebie niż na ziemi. Ostatnie nasze rozmowy przepełniała radość, że wkrótce będziemy oglądać piękność Najśw. Dziewicy i oblicze P. Jezusa, jaśniejące słonecznym blaskiem, Jego szaty śnieżno-białe i cały majestat potęgi Zbawiciela.

"Zawarliśmy z sobą niemal dziecinne przymierze a raczej umowę: Ten z nas mianowicie, który pierwszy zginie, będzie czekał na innych, abyśmy mogli razem stanąć przed Panem, jak razem przebyliśmy 18-dniowe więzienie.

"W nieszporach na ten dzień przypadła kommemoracja bohaterskiej śmierci błogosławionych: Agatanioła i Kasjana, Toteż nie mieliśmy ani cienia wątpliwości, że to oni właśnie mają być naszymi nauczycielami, jak się dla Boga oddaje życie w chwili próby. Wielką pociechę sprawiło nam rozważanie ich męczeństwa, bo mieliśmy nadzieję, iż wstawią się do Pana za nami i będą nam przewodnikami z ziemi do nieba.

"O godz. 5 zapukano do furty, i przyszedł rozkaz, abyśmy wyszli. Chwyciliśmy krzyż i odziani w habity przeszliśmy przez furtę, za którą oczeki-

wało nas dwunastu ludzi z karabinami w rękach. O. gwardian przemówił do nich, przypomniał im liczne jałmużny, które odbierali przy tej furcie, wspomniał miłość, z jaką właśnie dla robotników się poświęcaliśmy, wreszcie rzekł, iż oni sami dobrze wiedzą, że ani jednej zbrodni zarzucanej nam jako przyczynę wyroku nie jesteśmy winni. Nie wzruszyły te słowa żadnego z nich; trzem z nas polecono odejść dla pilnowania seminarzystów.

"Na placu przed klasztorem raz jeszcze zwrócił się do naszej eskorty o. gwardian i przedstawiał im, że zamierzone przez nich czyny są zbrodnią o pomstę do nieba wołającą, wzywał ich do żalu za to, co czynią, aby im Bóg nie umknął Swej łaski. Wszyscy słuchali z pospuszczanymi głowami; nagle jeden z nich z wściekłością skoczył do o. gwardiana, strasznym przekleństwem przerwał mu mowę, a zwróciwszy się do towarzyszów nazwał ich tchórzami. - Olbrzymi tłum zebrał się przed klasztorem i wśród niego musiały przechodzić ofiary, aż do posągu Matki Bożej Niepokalanie Poczętej, która z wysokiej kolumny spoglądała na naszych katów, niby ostrzeżenie z nieba, - od klasztoru zaś błogosławił nam św. Franciszek. Gdy doszliśmy do stóp posągu, o. gwardiam wyciągnął dłoń, chcąc dotknąć się Niepokalanej. W tym momencie padły wystrzały; śmiertelnie ranny o. gwardian padł na ziemię, a jego krew zbroczyła stopnie posągu Opiekunki naszej prowincji.

"O. Egidiusz, modląc się z brewiarza, postępował wolno ku balustradzie; w chwili, gdy chciał objąć rękami święte podnuże posągu, runął trafiony kulą. Za nim szedł o. Ignacy; strzał z tyłu strzaskał mu ramię; on zaś wzniósł mimo to obie ręce w górę, raz ostatni spojrzał ku Niepokalanej i zawoławszy: "-Niech żyje Chrystus - Król!" - padł, przeszyty kilkoma kulami i obficie broczące krwią.

"Br. Kryspin i br. Józef z różańcami w rękach patrząc na męczeństwo współbraci, zrobili kilka kroków, by dojść do nich i padli pod kulami obok trupów poległych kapłanów. W towarzystwie błogosławionych, którym się polecili, poszli do nieba, gdzie Bóg czekał ich z palmą męczeńską w dłoni.

"A w kościele u stóp przepięknego ołtarza Marii klęczeli przez ten czas chłopcy z naszego seminarium,

całą mocą swych młodych serc modląc się o to, aby Bóg dał chwalebne zwycięstwo ich ukochanym przełożonym, którzy z miłością poświęcając się ich wychowaniu na ziemi, mieli być teraz ich opiekunami w niebie.

"O godz. 9 przyszedł rozkaz wydziału rewolucyjnego abyśmy wraz z seminarzystami wsiedli do ciężarowego auta. Zawieziono nas do koszar milicji. Noc podobna do smutnej nocy wielkopiątkowej okryła ziemię.

"Byliśmy zamknięci w ciasnej izbie. Na ścianie wisiał jeszcze piękny obraz Niepokalanej, którego widocznie rewolucjoniści, ogarnięci wściekłym szałem niszczenia, nie zauważyli. Uklękliśmy przed tym obrazem; nie mogliśmy już dłużej pohamować łez; cichy płacz i szloch wstrząsnął nami z żalu za naszymi drogimi zmarłymi, których nie mieliśmy już ujrzeć na tej ziemi. Wiedzieliśmy, że oni w niebie, lecz okropna strata była tak wielka i przyszła tak nagle, że nie mogliśmy się utulić z żalu nawet przez rozważanie przyjęcia, jakie im Zbawiciel zgotował, i jak oni mówią teraz z Apostołami: "Dobrze nam być"- chociaż byliśmy pewni, że na nich sprawdziły się dziś słowa Chrystusa: "-Pójdźcie błogosławieni Ojca Mojego, weźmijcie Królestwo zgotowane wam od początku świata". -

Na tym kończy się opowieść naszego współbrata, który sam te straszne chwile przeżył, jako naoczny świadek nieludzkiego rozbestwienia komunistów z jednej strony, a głębokiej wiary i radosnej ofiarności naszych umęczonych braci z drugiej strony.

Tłum. z niem. fr. Abel



O STANISŁAWIE W Y S P I A Ń S K I M

i

JEGO TWÓRCZOŚCI

Zwiedził wówczas Wyspiański Wiedeń, Wenecję, Padwę, Weronę, poznał Szwajcarię i przez Bazyleę udał się do Paryża. Oglądane podczas tej podróży artystyczne dzieła mistrzów europejskiego malarstwa, zdobnictwa i architektury wywarły na nim potężne wrażenie i rozszerzyły znacznie jego dotychczasowe horyzonty. Po-nad wszystko zajmowały go - jak świadczy p. Stankiewiczowa - średniowieczne katedry gotyckie ze wspaniałymi witrażami i innymi elementami dekoracyjnymi.

Po całorocznym prawie pobycie zagranicą powrócił Wyspiański do Krakowa, przywożąc ze sobą swoim zwyczajem kufer najrozmaitszych pastelowych studiów, sztychów szkiców, krajobrazów i figuralnych kompozycji. Zdumiewają one doskonałym opanowaniem techniki i znakomitym odczuciem ducha epok, architektoniczną logiką w budowie całości, niewymuszoną, niewyrozumowaną, lecz wypływającą z jasnej percepcji wzrokowej. Jasno poprzez te prace przebijają zasadnicze cechy malarskiego talentu Wyspiańskiego. Oto Wyspiański w odtwarzaniu rzeczywistości nie usiłuje bynajmniej wydobywać pełnej, trójwymiarowej plastyki, lecz daje dobitne ujęcie reliefowe, zwartą i lapidarną syntezę kształtów i rysów najistotniejszych, zamkniętą w zdecydowane kontury i dekoracyjnie rozłożone plamy barwne. Daleki jest od drobiazgowej, realistycznej interpretacji natury. Transponowanie zjawisk na płaszczyznę obrazu opiera się u niego o subtelne odczucie natury, o spojrzenie na nią pełne miłości i poetycznej egzaltacji, które uszlachetnia, idealizuje każdy motyw, nadaje mu powagę uduchowienia i

wdzięk prostoty. Tym sposobem dosięgnął był Wys - piański szczytów ekspresji dostępnej tylko geniuszom.

Jeśli ta pierwsza podróż Wyspiańskiego zagranicę wywarła tak wielki wpływ na ukształtowanie i rozwój jego talentu, to cóż powiedzieć o następnej podróży, której celem był Paryż?! Mimo woli nasuwa się tu śmiałe a jednak trafne porównanie jednego ze słynnych polskich krytyków literacko-teatralnych, który pisząc o tych podróżach mówi, że "na przebudzenie skorpiona poezji i artyzmu, pogrążonego w duszy głębokościach Wyspiańskiego podziałały one podobnie silnie, jak działa łagodny poszum dojrzałego łanu zboża i huraganowa wichura potężnego tęgoboru na uśpionego demona, spoczywającego opodal w odtchliskach grot jaskini".

Kilkuletni /1891 - 1894/ pobyt Wyspiańskiego w Paryżu na jego późniejszym życiu i twórczości zaważył tak dobitnie, tak stanowczo i decydująco, że chcąc go dostatecznie scharakteryzować, trzeba by poświęcić jego rozważaniom osobne studium. Jest to bowiem dla Wyspiańskiego okres przełomowy, okres pełnego dojrzewania jego indywidualności, okres mężnienia i krystalizowania jego zasadniczych poglądów na życie, sztukę i kulturę, słowem - okres, w który Wyspiański wszystkie swoje dotychczasowe poglądy, przeżycia i w ogóle cały światopogląd poddał doszczętnej rewizji i chłodnej krytyce obiektywnego widza, aby je na nowo posegregować, oclić i opatentować na miarę potężnie pulsującego życia artystycznego wielkiego miasta Paryża. Zetknął się tam z wielkimi, wszech - światowymi skarbami sztuki, z nowymi sposobami artystycznego odtwarzania rzeczywistości, występującymi w malarstwie pod nazwą impresjonizmu, w poezji zaś - pod nazwą symbolizmu, a nade wszystko z pierwszym w świecie teatrem. Wchłonięta z zapałem lektura klasyków: Aischilosa i Sofoklesa, oraz współczesnych: Racine'a, Corneille'a, Maeterlicka i Leconte de Lisle'a pozwoliła mu się wznieść ponad szablony i maniery, jakimi skrępowana była dotychczas jego myśl twórcza. Równocześnie w rozpłomienionych jego wnętrzach odbywa się głęboka przemiana duchowa. Począł rozmyślać nad swoją pierwszą młodością krakowską i nad kolejami kulturalnego życia całego narodu pol-

skiego. Z rozmyślań tych wyrodził się na dnie młodej duszy jakiś głęboki, nieokreślony smętek, połączony z silnem przeświadczeniem, że życie jego ma cel wyższy znajdujący się poza dziedzinami ludzkiego bytu, który może osiągnąć tylko ofiarą osobistego szczęścia. Na tle właśnie tych przeżyć wewnętrznych powstały pierwsze zarysy jego dramatów, z których kilka /"Meleager","Legenda", "Warszawianka", "Śluby Jana Kazimierza"/ przerobił później, inne zniszczył / np. "Kłamca"/.

W r. 1894 wraca Wyspiański z Paryża do Krakowa. Pełen niespożytych sił i wyśnionych ideałów, z jasno zakreślonym programem i z zapałem niezwykłym zabiera się do pracy. Maluje, pisze i tworzy bez wytchnienia. Lecz jakżeż czarna i niewdzięczna, jakżeż bogata w samopotrzaski spotyka go rzeczywistość?! Jego dzieła plastyczne i poetyczne nie znajdują najmniejszego uznania ani zrozumienia zarówno w sferach kwalifikowanych znawców sztuki, jak i w szerszych kręgach publiczności. Nawet sławna polichromia kościoła oo.franciszkanów przechodzi bez echa. A niezrównane witraże, jedyne w swoim rodzaju, będące genialnym wytworem fantastycznych wizji są wprost odrzucane jako niedorzeczne dziwadła. Nie mówi się tu już o jego licznych obrazach i portretach, na które tym bardziej nie zwracano uwagi. Jedynym sukcesem Wyspiańskiego z tego czasu było otwarcie mu dostępu do "Życia",organu "Młodej Polski", gdzie powierzono mu pieczę nad działem artystycznym. Poza tym jednak poeta nadal musi zmagać się z samymi tylko niepowodzeniami i uniwersalnymi fiaskami.

Na skutek tak fatalnego obrotu rzeczy Wyspiański w krótkim czasie popadł w katastrofalny kryzys materialny, a co gorsza - i moralny. Był nawet bliski załamania duchowego. Na szczęście zawistny Los rozpogodził swe oblicze. Nadszedł rok 1901. Dla Wyspiańskiego rok triumfu i chwalebnego zwycięstwa. W tym to roku wystawił on na scenie krakowskiej swe "Wesele". Była to istna rewolucja, wyczyn, którym Wyspiański, do cna zgniótłszy wszelką niechęć i obojętność, szeroko rozsławił swe imię. Skończyły się odtąd dla wsławionego dramaturga dnie marnej wegetacji "chudego literata", a rozpoczął się okres monarszego królowania utalentowanego poety. Wzmogła się w niepomie-

rny sposób poczytność jego dzieł. A i obrazów zaczęto skrzętnie poszukiwać i na gwałt zakupywać. Uznano więc w nim nie tylko poetę ale i malarza. Wyraźnym tego dowodem było mianowanie go docentem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Ten niezwykły triumf i rozgłos, jaki Wyspiańskiemu zgotowała niebywała w dziejach teatru polskiego premiera "Wesela", nie zadowoliły artysty bynajmniej, nie zmieniły też jego usposobienia, czy zapatrywań. On znał swoją wartość i wielkość tak, iż nie potrzebował jej potwierdzenia z zewnątrz. Stał ponad wszelką opinią ludzką. Jeżeli zaś przedtem zapoznanie jego dzieł potrafiło wytrącić go z równowagi duchowej, to nie dlatego, że było negacją jego wielkości, lecz że przekreślało i unicestwiało szlachetny plan jego wzniosłych postanowień - wydźwignięcia polskiej kultury z mroków niewoli i postawienia jej na wyżynach kultury Zachodu. I tym to właśnie tłumaczy się nieprawdopodobny wprost ogrom i rozmach twórczości niestrudzonego poety-malarza. W przeciągu krótkiego stosunkowo żywota swojego stworzył tak bogaty repertuar dzieł różnego rodzaju, iż pod tym względem /jak zresztą i pod każdym innym/ śmiało może się zmierzyć z najpłodniejszymi i najbogatszymi w inwencję twórczą duchami ludzkości. Wszak jego życia zadaniem, celem i wszystkim w najszerszym tego słowa znaczeniu - była twórczość. Tworzył zawsze i wszędzie, a nigdy nie mógł uwolnić się od tłumu obrazów i postaci, które nieskończonym korowodem snuły się przed jego wyobraźnią. Jego duch potężny, jak wybuchy wulkanu, o ramionach wielkich, jak przyszłość i przeszłość, kryjący w sobie niewyczerpane źródło przeróżnych możliwości, w swym żywiołowym zapale nie stygnął nigdy. Do ostatniego tchnienia haftował na kanwie swej przebogatej jaźni nieludzkie, gigantyczne projekty nowych... i nowych prac i przedsięwzięć. Słusznie o nim mogła powiedzieć Konopnicka: "Istałeś się sam sobie paliwem bolesnym, a żertwą ognia jest twe serce".

Dlatego najtragiczniejszym nieszczęściem dla Wyspiańskiego, tego geniusza płomiennego, jak ognia słup, opętanego manią pozytywnego czynu, byłoby chyba pozbawienie go możliwości tworzenia. I pomyśleć, - że takie nieszczęście go spotkało...

Choroba bowiem nerkowa, która przez szereg lat paliła jego wnętrzności, torturując go nieopisanymi cierpieniami, wkońcu osiągnęła swój szczytowy punkt. I poczęła niemiłosierne czynić spustoszenia w nie - zmożonym dotąd organiźmie Wyspiańskiego. Zaczęło się od całkowitego sparaliżowania prawej ręki. Był to bolesny cios dla artysty-malarza, albowiem pozbawił go środka wypowiadania się swej przebogatej duszy całą siłą twórczego zapału, który w niej płonął.

Opowiada p.W. Feldman, iż Wyspiański miał się wyrazić, że ta niemożność malowania przygnębiła go tak, jak gdyby mu kto wieżę Mariacką postawił na piersiach i że, jakkolwiek cierpi wiele, zgodził by się cierpieć dziesięć razy więcej, gdyby tylko mógł malować.

W krótkim czasie po paraliżu prawej ręki nastąpił częściowy paraliż ręki lewej i innych części ciała. Podłożem tych katasrof był stopniowy a regularny zanik nerek, oraz słabnąca z dniem każdym działalność serca. Wobec takiego stanu nie było nadziei, aby chory mógł wyzdrowieć. Nie miał jej nawet sam Wyspiański. Owszem, jasno zdawał sobie sprawę, że niezadługo przyjdzie mu rozstać się z tym światem. Ta straszna myśl bliskiej śmierci nie potrafiła jednak wygasić w nim płomiennego ogniska poezji, buchają - cego nieustannie ogniem proroczych wizji i rojem myśli-błyskawic. Ponieważ zaś sam nie mógł pisać, przeto począł ostatkiem sił dyktować ciotce, p.Stankiewiczowej, która w ten sposób ocaliła dla literatury naszej ostatnie, gorączkowe blaski swego wielkiego siostrzeńca. I tak niestrudzony ten bojownik do ostatka nie przestawał wyrzucać z siebie, jak wulkan ze swoich kraterów, lawin twórczości swego mocarnego ducha. Aż wkońcu zstąpiła na niego śmierć i śmiertelnym swym tchnieniem położyła kres jego działalności.

Umarł Wyspiański, nasz hetman, wódz i prorok dnia 28 listopada roku 1907 o godzinie 4 m 45 po poł.

Umarł, - ale "siła fatalna" jego poezji na nas "zjadaczy chleba" działa i działać będzie...

fr. Wenanty



Nie mam zamiaru rozwodzić się nad śpiewem jako takim, nad jego powstaniem, czy rozwojem, lecz pragnę zwrócić uwagę na stopień zainteresowania się śpiwem w naszym środowisku i na uznanie, jakim rzekomo cieszy się w naszej Prowincji.

Napozór,-jak mniemają niektórzy - zdawaćby się mogło, że śpiew, jako jedna z części kompletu poezji, zajmuje wśród naszej młodzieży studiującej, jeśli nie naczelne miejsce to przynajmniej bardzo ważne i bardzo cenione, jako przedmiot może najwięcej odpowiadający aspiracjom młodzieży, pozwalający im piąć się i wzlatywać na coraz wyższe szczeble wiedzy, prawdy i piękna. Jeśliby ktoś w ten sposób sądził, bardzo myliłby się. Rzecz bowiem przedstawia się zupełnie inaczej. Dowodem - to fakt, że śpiew budzi wśród kleryków tak małe i nieznaczne zainteresowanie, iż jest po największej części raczej przedmiotem wstrętu i odrazy, niż sympatii. Pomijam tu oczywiście jednostki /zresztą nieliczne!/, które naprawdę rozumieją znaczenie i obiektywny walor śpiewu; które, jeśli nie kochają go z wewnętrznej potrzeby, to ćwiczą się przynajmniej w nim nie w nadziei robienia jakiejś kariery, lecz dla godnego w przyszłości spełnienia urzędu kapłańskiego. Jeśli Bóg dał nam organa głosowe, dlaczego nie mamy tego talentu pogłębiać i rozwijać zwłaszcza dla tak ważnej sprawy Bożej? Dlaczego mamy tę miłą Bogu pieśń zakopywać do ziemi? Ktoś może powiedzieć: "Przecież nasz śpiew nie stoi znowu tak przyziemnie, boć wtenczas i chór nie cieszyłby się tak wielkim uznaniem zwłaszcza wśród osób świeckich". Sąd taki byłby - że się tak wyrażę - fałszywo-prawdziwy. A to dlatego, że zespołu śpiewaczego nie stanowi całość jako taka, ale część. Zaledwie kilka jednostek, którym słusznie przysługuje miano "gwiazd", "filarów" /-jak się wyraził profesor śpiewu/ podtrzymujących na

Z UTWORÓW ŚWIĘTEGO OJCA FRANCISZKA

Uwielbiam

Uwielbiam Cię w dziełach Twych, Boże Jedyny,
W Przeświętej Trójcy - Baranku żywy,
Wszechmocny Boże - Wielki - Nieśmiertelny,
Przemożny Władco, Królu wszechświata,
Ojcze Najlepszy, Pełnio wszelkich dóbr -
Uwielbiam Cię!!

Miłuję Cię, Panie, Boże Prawdziwy,
Żeś jest dobrocią, skarbem wszystkich łask
I żarem miłości świat napełniasz.
Święty Boże! pokory i mądrości Krynico,
Pociecho strapionych, Dźwignio grzeszących-
Bądź pochwalon!!

Najświętszy Boże! Chwalby Ci śpiewam bezkresne,
Za Twoją piękność niepojętą - cud -

Cię, Panie...

O Wspomożycielu, Pasterzu dobry i Obrońco,

Swięty Boże...

Tyś najżywszym źródłem, z którego spragnione serca

Piją słodki nektar szczęścia, wiary i nadziei!

Chwała Ci Panie, Najświętszy Ojcze Nasz!

Tyś wiecznym życiem Twoich sług, –

Wielki Przedziwny Panie,

Boże wszechwładny,

Łaskawy Zbawco naszych dusz...

Chwała – Chwała – Chwała Ci!...

fr. Kornel

/Opuscula S.P.Francisci Assisiensis. –

Ad Claras Aquas 1904/

swych barkach cały ciężar budowy. Niech tylko zabraknie filarów, a cały dom się zwali. Tak. Jednostkom tylko należy zawdzięczać sympatię dla naszego chóru. To jednak za mało, to nie wystarczy. Każdy powinien samodzielnie pracować, nie opierać się, nie potrzebować jakowychś filarów, ale patrzeć na siebie i wyrabiać sobie tę samowystarczalność tak pożądaną w dzisiejszych czasach, gdyż trudno zawsze oglądać się za drugim. Nie każdego Bóg obdarzył równymi zdolnościami i właściwościami, to... prawda, ale to jeszcze nie upoważnia nas, aby poprzestawać na tym, co nam jest z natury wrodzone. Wystarczy tylko zdać sobie sprawę z doniosłości śpiewu, a już on sam pociągnie nas ku sobie. Oczywiście, trzeba również jak w każdym innym przedmiocie dołożyć starań i pracy, bo - jak mówi stare przysłowie - "bez pracy nie ma kołaczy". Oprócz teorii, która kończy się na zwykłych frazesach, konieczna jest praktyka śpiewu. Nie potrzeba przy tym jakichś nadzwyczajnych, karkołomnych wyczynów gardła. Wystarczy dowolne systematyczne ćwiczenie, a struny głosowe umiejętnie kierowane niejednokrotnie mogą iść w zawody chociażby ot... z Kiepurą.

Ktoś, czytając ostatnie egzemplarze naszego "Wzlotu", może dojść do wniosku - widząc na każdym kroku wzmianki o śpiewie - że ci klerycy obecnej doby niczym innym się nie zajmują, jak tylko sztukami pięknymi i poezją. Podobnego zdania nie można absolutnie przyjąć za prawdziwe - jak to już wyżej wspomniałem - a jeśliby ono znalazło jakieś uzasadnienie, to tylko u indywidualnych osobistości o specyficznym nastawieniu.

Według mego mniemania, śpiew kościelny, zwłaszcza gregoriański, z błagalnym wejrzeniem wygląda zlitowania nad sobą od tych, którzy biorą lub powinni brać w nim udział. Kto myśli o kapłaństwie, temu nie wolno zapominać o śpiewie, chociażby tylko przez wzgląd na to tak bardzo popularne przysłowie łacińskie: "Qui cantat bis orat". Poza tym śpiew wywiera przemożny wpływ na słuchających. O wiele chętniej śpieszą ludzie na nabożeństwo, które intonuje ksiądz pięknym i miłym głosem. A nasze uroczystości kościelne cóż ubiera w szatę tak wzniosłą i okazałą, jeśli nie śpiew! On jest tym czynnikiem, który koi zbolałe

dusze wlewa radość, leczy smutek i pociąga ku Bogu. Wystarczy zapytać się kapłanów pracujących na misjach, a oni powiedzą nam o doniosłości śpiewu. Mamy przecież dwu Ojców pracujących na misjach w Estonii. O. Tadeusz cieszy się wielką popularnością dzięki swemu przemiłemu głosowi, który sprawia, że nawet innowiercy uczęszczają na jego nabożeństwa. Tak więc można głosić chwałę Bożą, nie tylko słowem i czynem, ale śpiewem zjednywać dusze i łączyć je z Bogiem. Sądzę, że jest to wystarczająca zachęta do głębszego zainteresowania się śpiewem dla tych, którzy myślą o emigracji misjonarskiej.

Jakżesz mało jednak /niestety!/ zwraca się uwagi na śpiew i jak często macha się nań ręką jako na rzecz bezwartościową.

Prymicje

Na pamiątkę Prymicji Ojców:
Kasjana, Jana i Seweryna. 13/3.37.

– Kościół nasz wydaje mi się dzisiaj odmienny
Niż zawsze!...
Wypełnił go jakiś dziwny czar–– niecodzienny!
Słońce wpada doń gorętsze, łaskawsze –
Woń zagasłych kadzideł Sakry mojej
Jeszcze trwa!
W niebo płynę wśród błękitnych zwoi –
Serce mi drży – wzrok mąci łza...
Dziś moja pierwsza Msza!!
I n t r o i b o a d A l t a r e D e i .
Spowiada się dusza Bogu z kolei
Z win swoich – i bierze na się cudze – –
K y r i e e l e i s o n ! !
O Panie, Panie!
Usłysz pokorne wołanie,
Gorącym węglem spal me wargi!
Niech czystą będzie moja mowa.
Bym godnie głosił Twoje słowa! –
Wokoło mnie lud rozmodlony,
Z ust ich płyną westchnienia, skargi...
A przede mną Tajemnic zasłony
Uchylają się zwolna, ognia biorę chrzest!
V e r e d i g n u m e t i u s t u m e s t !

Śpiewa Ci przez me usta ziemia cała:
Na wysokościach Tobie, Panie, chwała!
Jam przed Tobą proch uniżony już - -
S a n c t u s , S a n c t u s !
Lecz czemże ja jestem, Panie!
Byś schodził posłusznie z Nieba,
Na me wołanie!!
Jakimże życiem spłacić Ci to trzeba!!...
Uświęć mnie, bym choć w części był godny
Tej - nad Tobą - mojej mocy, Panie!!
Ciała i Krwi Twej byłem zawsze głodny...
Lecz dziś - sam czynię "Chleba łamanie",
Lecz dziś - sam sprawuję "Winobranie" -
Dziś tkwię w samym sercu Miłości!
Ożywam w samym jądrze Jasności! -
Lękam się, Panie!!
Lecz każesz! Więc choć niegodny,
Podnoszę Cię dłońmi moimi.
I wiem, że nie ma nic na ziemi -
Ty jeno!... H o c e s t e n i m!...
Umarł już Baranek na Krzyżu -
Woła nas z tej Golgoty, w pobliżu -
"Pójdźcie do mnie!" więc oto śpieszę
Nakarmić Tobą głodne rzesze,
Co tu przyszły w wierze i nadziei -
E c c e A g n u s D e i!!...
Cud stał się Słowem - Słowo Ciałem!...
Oto z sercem Miłością nabrzmiałem,
Oto z duszą przepojoną słodyczą
Odchodzę z przed Twojego oblicza - -
Lecz tajemnie biorę Cię ze sobą,
Teraz muszę już na zawsze być z Tobą,
Bom wszystko oddał Temu, co Wszystkim jest...
I t e M i s s a e s t !
Znikł ornat pozłocisty z przed ołtarza - -
Jeszcze błądzą modre kadzideł cienie...
Cieka z góry tęczowe promienie
Rozgorzały słońcem poranek - -
I jak diament, w migocie świec się waży
Niewidzialny tej Mszy ministrant - Cherubin!
Co pod skrzydło wziął zielony wianek -
Symbol pierwszych duszy z Bogiem zaślubin! -

Fr. Peregryn

W WALCE Z KRZYŻEM O KRZYŻ

/Refleksje nad powołaniem misyjnym/

Religię pojmuje się dziś jako coś oddzielnego, samoistnego. W zespolonym całokształcie zagadnień społecznych i politycznych nie ma dla niej miejsca. Religia nie idzie w parze, lecz najwyżej stoi obok tamtych zagadnień. Konkretniej mówiąc, wygląda to mniej więcej tak: Dla polityki począwszy od średniowiecza religia przestała być światopoglądem a zeszła na stopień suchej formy bez treści. Wpływ religii w tej dziedzinie nie istnieje, a bezradność kierowników polityki wobec zagadnień religijnych graniczy prawie że z absolutną niemocą. Obecny ład społeczny nie przewiduje również religii. Wmawia się nawet w proletariat, że szczęście jego zakwitnie na gruzach kościołów, ba - Kościół jest rzekomo wiernym sojusznikiem kapitalizmu. Większość uczonych głosi, że pomiędzy wiarą i wiedzą nie ma logicznego związku.

A jednak mimo tej olbrzymiej rozbieżności i bezsilności religii katolickiej wobec nurtu życia, ona istnieje i rozwija się. Przeżywa nawet katolicyzm obecnie najświetniejszy okres odrodzenia. Dziś, jak nigdy, gorliwy katolik czy konwertyta sięga poprzez zewnętrzną formę religii w jej głęboką treść wewnętrzną.

Nasuwa się więc samorzutnie pytanie, skąd ta paradoksalna rozbieżność między katolicyzmem a życiem ludzi, narodów i państw? Z tej pozornej sprzeczności zdają sobie sprawę nie tylko narody Europy. Widzą ją i potępiają narody Azji, i w ogóle kraje uważane przez nas za tereny misyjne, za tereny ekspansji naszej katolickiej aktywności. Jeśli więc wszyscy katolicy powinni się zastanowić nad przyczynami, które spowodowały wyzwalanie się świata spod wpływów katolicyzmu, to w większej jeszcze mierze wypada uczynić to tym wszystkim, którzy za cel życia obrali sobie niesienie Dobrej Nowiny narodom, które jeszcze siedzą w ciemnościach i cieniach śmierci.

Obiektywnie przeprowadzona diagnoza omawianego zagadnienia wykaże dwie rzeczy: 1-o Jednostronne szu-

kanie winy po stronie przeciwnego obozu i 2-o niezrozumienie samej istoty naszej katolickiej religii.

Stwierdza się zatem fakt, że jest źle. Źródła owego zła szuka się w złości natury ludzkiej, konkretniej - we wrodzonych złych instynktach poszczególnych jednostek. Ale czy wina nie leży jednak i po naszej stronie? Czy kamieniem zgorszenia dla mieszkańców Azji nie jest sprzeczność życia z głoszonymi zasadami katolickimi. Spójrzmy zresztą wokół siebie. Spotykamy się codziennie z katolikami, nawet gorliwymi. A przecież baczne oko psychologa dojrzy, że zręcznym maskowaniem się i udawaniem pokrywają oni pustkę wewnętrzną, że katolickie ich zasady wiszą na różanych obłokach, a życie codzienne jest łańcuchem ciągłych wzlotów i upadków. Stwierdzenie więc, że źródło zła leży i po naszej stronie będzie pierwszym środkiem podniesienia nas samych a następnie i drugich na stopień Synów Bożych.

Z zapoznaniem osobistych wartości łączy się często niezrozumienie istoty religii katolickiej.

Jedną z głoszonych przyczyn obecnej zawieruchy politycznej i zanikania wzajemnego zaufania jest fakt, że państwa pragną uzyskać korzyści bez możliwie najmniejszych ze swej strony ustępstw i ofiar.

Na tej samej zasadzie opiera się system wychowawczy. Przeplatanie lekcji najrozmaitszymi ćwiczeniami gimnastycznymi świadczy, że pracę szkolną pojmuje się jako rozrywkę, czyli że drogą możliwie najmniejszych wysiłków mają uczniowie zdobyć wiedzę.

Całkiem podobne objawy można zauważyć w dziedzinie chrześcijańskiego wyrobienia duchowego. I tutaj coraz częściej stosuje się zasadę, że harmonię pomiędzy życiem nadprzyrodzonym a zmysłowym można osiągnąć sposobem możliwie najmniejszych ustępstw. Zasada z gruntu fałszywa. Zwycięstwo naszej katolickiej idei prowadzi jedynie przez krzyż. O tyle wskrzesimy nasz dawny wpływ na świat, o ile we wszystkich przedsięwzięciach naszych jaśnieć będzie osobisty, nieustanny wysiłek. Pozwolę sobie zatem na pytanie, mniejsza o to, z jakim się ono spotka u Czytelników przyjęciem: czy my kapłani niezbyt lekko pojmujemy naszą pracę na ambonie, w konfesjonale, czy w szkole?

Czy nie zadawalamy się zbyt prędko, jako tako odmówionym brewiarzem? Czy nasz apostolski zapał nie ogranicza się jedynie do zbierania oklasków słuchaczy?! O ile tak, to ci sami słuchacze potępią nas jednak przy lada sposobności. Świat wprawdzie lubi kapłanów miłych, towarzyskich i światłych. Ale, gdy spadnie nań cios, gdy niejedno młode życie legnie złamane, ratunku szuka się i znajduje tylko u kapłana, o którym wiadomo, że jest c r u c i f i x u s m u n d o e t i l l i m u n d u s . Stara zasada: s t a t c r u x , d u m v o l v i t u r o r b i s , utrzyma się wtedy tylko, gdy osobistą zasadą każdego z nas będzie: "c r u x u l t i m a l e x !".

Epizod u św. Jana /XIII, 1-20/ gdy Chrystus Pan umywa nogi Apostołom /co należy rozumieć w znaczeniu przenośnym/, pokazuje nam całego ducha Chrystusowej nauki. Nie panować, ale służyć! Oto cel życia Chrystusowego naśladowcy! Lecz służyć - znaczy poświęcić siebie, wyrzec się samego siebie.

Z wielu środków mogących stanowić antidotum na obecną laicyzację świata, dwa wyżej poruszone są niewątpliwie najważniejsze: - Szukanie źródła zła po naszej stronie i uprzytomnienie sobie, że religia katolicka jest religią krzyża. Zrewidowanie własnych wartości moralnych pod tym kątem widzenia, będzie dla ogółu katolików "zwycięstwem, które zwycięża świat". W pionierach zaś naszych katolickich postulatów na dalekich frontach misyjnych sprawi, że ich powołanie misyjne będzie rzeczywistym wynikiem walorów nadprzyrodzonych. A przecież o to tylko chodzi, by raz na zawsze położyć koniec dyskretnemu mieszaniu własnych interesów z chwałą Boga i Kościoła.

Ludzie czynu, którzy wami kierują, mogą błyszczeć swą logiką, talentem, a nawet posiadać pewną pobożność, mogą rzucać snopy światła, a nawet zaszczepiać pewne praktyki pobożne. Lecz wskutek zbyt małego czerpania u źródła życia, nie będą mogli udzielić innym tego ognia, który zapala wolę.

/Ks.J.B.Chautard Z.C.R./



Sądzę, że najświetniejszą pozycję w bilansie sprawozdawczym ubiegłego miesiąca stanowi uroczystość Święceń Kapłańskich Wiel. Ojców Kasjana, Jana i Seweryna, która odbyła się dnia 13 marca. Zbytecznym byłoby rozwodzić się na temat wielkiego znaczenia i wspaniałości zewnętrznej tych świętych obrzędów, gdyż wszyscy je doskonale znają. Nie od rzeczy będzie jednak nadmienić, że młodzi prezbiterzy przed przyjęciem Sakramentu Kapłaństwa niezwykle starannie przygotowali się na ten uroczysty akt przez długie rekolekcje, ćwiczenia duchowne, milczenie i obcowanie sam na sam z Panem Bogiem. Pomagał im w tym o. Jerzy doświadczony kierownik duchowny. Święceń udzielił im ks. biskup dr St. Rospond, przy czym należy ze specjalnym naciskiem podkreślić doskonałą zewnętrzną formę świętych ceremonii. Mam tu mianowicie na myśli niezwykle sprawnie funkcjonującą maszynę liturgiczną, która pod energiczną dyrektywą fr. Przemysława, pierwszego par excellence ceremoniarza kapucyńskiego dokonywała prawdziwych cudów zgrabności i orientowania się w każdej najbardziej nawet skomplikowanej sytuacji. Jednym słowem sama technika ceremonii była bez zarzutu. Wprawdzie podniosły nastrój panujący w kościele w czasie święceń zamąciła jakaś egzaltowana jejmościnka, która dostała spazmów, tak że musiano ją wyprowadzić z świątyni, ale ten incydent nie pozostawił po sobie większego wrażenia.

Obok znanych nam już skądinąd postaci Ojców Kasjana, Jana i Seweryna /vide: Kadłubek/ uczestniczył jeszcze w święceniach fr. Peregryn Malinowski, w najbliższej przyszłości gorliwy apostoł Arabów, Żydów, Turków i innych giaurów, który teraz z subdiakona zawansował na diakona.

Śpiewy liturgiczne wykonał chór kleryków kapucyńskich pod batutą p. Dyr. Wallek-Walewskiego, osobistego przyjaciela nowowyświęconych prezbiterów. Szczególnie ślicznie wypadło: "Iam non dicam vos servos", zwłaszcza w tych partiach, które śpiewał sam

Następnego dnia, w Niedzielę Męki Pańskiej, mieliśmy zaszczyt być obecnymi na premierze liturgicznej młodych kapłanów, którzy kolejno celebrowali Msze św. prymicyjne. O. Seweryn o godz. 7-mej, o. Jan o 9-tej a o. Kasjan o 11-tej. Każdy z nich po ukończeniu Najśw. Ofiary udzielał wiernym błogosławieństwa prymicyjnego.

W południowej porze odbyła się w sali refektarza klasztornego, oświetlonej rzęsiście słoneczną iluminacją, uroczysta biesiada na cześć nowowyświęconych kapłanów, którzy zasiadłszy na honorowych miejscach przy stole, musieli spełnić tradycyjny toast, wzniesiony na ich zdrowie. Już w toku spożywania smacznych darów Bożych zjawił się szczególnie miły gość, p. Dyr. Wallek - Walewski, stary, wypróbowany przyjaciel kapucynów. Oczywiście przyjęto go z otwartymi rękoma i posadzono na możliwie najgodniejszym miejscu. Nie trzeba, zdaje się, dodawać, że po skonsumowaniu wszystkich produktów sztuki kulinarnej br. Fabiana, uczta siłą rzeczy dobiegła końca.

""########""

Czas Wielkiego Postu a zwłaszcza ostatnie jego tygodnie, są okresem najintensywniejszej pracy duszpasterskiej zarówno dla duchowieństwa świeckiego jak i zakonnego. Zakon nasz nigdy nie stanowił pod tym względem wyjątku, owszem zawsze ze specjalną predylekcją i zamiłowaniem oddawał się działalności apostolskiej wśród prostego ludu. Toteż może się słusznie chlubić niespotykaną gdzie indziej ilością znakomitych misjonarzy i kaznodziejów ludowych, opromienionych nieraz aureolą legendarnych podań i fantastycznych opowieści. W obecnych czasach również nie możemy narzekać na brak świetnych misjonarzy kapucyńskich, przeciwnie, jesteśmy niemal stale świadkami ich wspaniałych sukcesów i triumfów na polu wymowy kaznodziejskiej, i to zarówno wówczas, gdy przemawiają do prostaczków, jak i wtedy, gdy podbijają sobie serca i umysły żlazowanej inteligencji wielkomiejskiej. Największą popularnością i uznaniem wśród sfer wykształconych i młodzieży cieszy się o. Anioł, mały, ruchliwy staruszek, o pięknej, mlecznej brodzie, pogrobowiec minionej epoki, żyją-

cy wspomnieniami jasnej przeszłości, owianej czarem poezji i patriotycznego natchnienia, którego niewyczerpanym a potężnym źródłem był wówczas o. Wacław Nowakowski. Może właśnie dlatego kazania o. Anioła mają taką zniewalającą moc, że są już jakby ostatnim słowem ustępującego z widowni życia pokolenia starych, chrobrych kapucynów. Charakterystycznym jest, że o. Anioł ma szczególny dar zjednywania sobie serduszek dziecięcych, czego najlepszym dowodem jest wypadek, jaki mu się zdarzył niedawno na Śląsku. Oto, gdy po skończonych rekolekcjach żegnał się z gromadką swych małych słuchaczów, zmartwiona tym wielce dziatwa otoczyła go kołem i tuląc się doń prosiła ze łzami: "Dziadziu, nie odchodź od nas, nie, zostań z nami dziadziu!" Ten wzruszający fakt posiada silniejszą wymowę niż wszystkie superlatywy, jakie bym mógł tu zacytować na korzyść o. Anioła, razem wzięte.

Jak zawsze tak i tego roku kazania rekolekcyjne w naszym kościele miał o. Anioł, toteż nie dziw, że w świątyni panowała hermetyczna ciasnota. A gdy po skończonym różańcu uwielbiany Kapucyn zabierał głos, to wtedy robiło się tak cicho, że można było słyszeć przelatującą muchę. Bardzo mocny kontrast stanowiła ta cisza i zasłuchanie w słowa mowcy, z ciągłym kaszlaniem i chrząkaniem, towarzyszącym nieodstępnie występom innych, mniej wybitnych kaznodziejów.

""""""""""
""""""""

Jak już wyżej wspomniałem, okres Wielkiego Postu ze względu na swą wyjątkową rolę, jaką odgrywa w życiu społeczności chrześcijańskiej, otwiera przed kapłanem katolickim, pojmującym na serio swe szczytne obowiązki, ogromne pole działania. Ludzie bowiem ochłonąwszy z upajających wrażeń karnawałowych instynktownym niejako odruchem zwracają się w stronę Boga i z gorączkową niecierpliwością starają się odzyskać zachwianą równowagę wewnętrzną. "Anima naturaliter christiana", jak mówi św. Augustyn, przerażona ponurą wizją ruiny wszystkiego co cielesne pragnie czym prędzej odnowić przymierze z Bogiem. Stąd to pochodzi owo natarczywe wołanie o pomoc duszną, o rekolekcje, o misje, o spowiedź. A kapłan posłuszny głosowi obowiązku musi iść i podać rękę

proszącemu. Musi znaleźć dla każdego słowa pociechy i serdecznego współczucia, musi podnieść znękany umysł z depresji duchowej i przypomnieć mu słodką prawdę o bezgranicznym miłosierdziu Bożym . Księża świeccy stanowczo zadaniu temu w pełni podołać nie mogą. Przechodzi ono ich siły i możliwości. A zresztą parafianie bardzo często żywią jakieś dziwne uprzedzenia do swych zwykłych pasterzy, czują czasem do nich niechęć i żal. W takich warunkach jedyną radą jest sprowadzić obcych misjonarzy, którzy by słowem i przykładem umieli działać zbawiennie na lud . Oczywistą jest rzeczą, że najlepiej nadają się do tego zakonnicy. Surowy tryb życia, odmienne nastawienie duchowe, przewaga idealizmu w zapatrywaniach a zwłaszcza jakiś nimb tajemniczości, otaczający zakonnika, zapewnia mu bezwzględny posłuch i uznanie wiernego ludu. Jednym słowem, gra tu ogromną rolę autorytet moralny, jakim się cieszą powszechnie kaznodzieja- mnich.

Nie chcę, by mnie źle zrozumiano, a co gorsza , posądzono o jakąś nieszczerość wobec wyżej postawionych osób, dlatego też nie będę się silił na górnolotne, patetyczne panegiryki, wynoszące pod niebo zasługi naszych Ojców dla sprawy zbawienia dusz, ich ciągłe wyjazdy z kazaniami i rekolekcjami, długie godziny spędzone w konfesjonale i na ambonie, bezsenne noce poświęcone na odmawianie brewiarza; zaznaczę jeden tylko znamienny fakt, mianowicie, że nawet nauka, która takim poważaniem cieszy się u nas, musiała pokornie zrezygnować ze swych prerogatyw na rzecz pracy duszpasterskiej księży profesorów. Wykłady na trzecim kursie filozofii skończyły się o tydzień wcześniej, niż było przewidziane, a teologowie uprawiali przez ten czas "niepróżnujące próżnowanie". Nawiasem mówiąc, czynniki decydujące nie mogły jednak przeboleć tak wielkiej straty i przyśpieszyły naukę po świętach, co wywołało specyficzną reakcję wśród grona bezpośrednio zainteresowanych studentów.

W ogóle wszyscy byli jak najlepszej myśli, aż tu naraz rozeszła się hiobowa wieść, że Przew. O . Prowincjał zapadł poważnie na zdrowiu. Złośliwa , natrętna choroba, z którą już od dłuższego czasu parał się Przew. pacjent, zmogła go znowu i to w chwi-

chwili najmniej odpowiedniej, akurat wtedy, gdy się wybierał z o. Gwardianem na rekolekcje do Strzemieszyc w Zagł.Dąbr. Wobec tak nieoczekiwanej przeszkody musiał wyrzec się tym razem chwalebnego trudu. Zastąpił go wnim o. Henryk, profesor filozofii, bardzo lubiany przez swych uczniów dla dobrego serca i sprężystej ręki, a także dla rozbrajającej wprost wytrwałości z jaką usiłował wyryć w naszych opornych umysłach doktrynę Kanta i to echt!

""#########""

Natura ludzka ma w sobie coś z ducha przekory. Właśnie wtedy, gdy trzeba się ustroić w powagę i stąpać na koturnach, ona ubiera się w szatki rozbawionego dzieciaka i skacze z nadmiaru uciechy. Gdy natomiast pozostawi się jej zupełną wolność ruchów, to wówczas składa buzię w ciup, rączki wsadza skromnie do rękawa i spaceruje przygarbiona po alejach ogrodu tak, ażeby na źdźbło nie nastąpić i trzcinki nadłamanej nie złamać. Coś podobnego działo się z nami w czasie Wielkiego Tygodnia. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że nigdy w ciągu roku nie było nam tak dobrze i błogo jak przez tych kilka dni, poprzedzających Niedzielę Zmartwychwstania. Nie było nudno, bo porządek dnia uległ dużym przesunięciom, a także osobliwe ceremonie kościelne żywo działały na naszą wyobraźnię. Spać się za dnia nie chciało, bo z łaski o. Gwardiana ranne wstawanie uległo znacznemu opóźnieniu. Nie było smutno, bo mieliśmy dużo zajęcia: nieustanne śpiewy, adoracje, sprzątanie cel i inne przygotowywania przedświąteczne pochłaniały nas całkowicie. Najwięcej krzątali się ceremoniarze, fr. Przemysław oraz "wschodzące słońce liturgii" fr. Romuald, którzy musieli uzgadniać i harmonizować rozbieżne działania poszczególnych wykonawców świętych obrzędów. A propos fr. Przemysława, to moim zdaniem należy mu się osobny pomnik ze spiżu i marmuru na środku zakrystii za to, że z taką energią przeprowadził dzieło uporządkowania ceremonii liturgicznych w naszym kościele i w ten sposób stał się twórcą złotego wieku liturgii świętej na terenie kapucyńskiego konwentu w Krakowie. Cześć zasłudze!

Ioannes Nonlonginus

C O O N A S M Ó W I Ą ?

Z poniższeg listu nadesłanego Redakcji przez Przew. O. Czesława z Haczowa mogą ocenić Czytelnicy, jak dalece aktualna była nasza inicjatywa utworzenia specjalnego działu czytelniczego. Nam pozostaje tylko podziękować Przew. Autorowi za rzeczowe uwagi i rady. Będziemy się starali wykorzystać je pamiętając, że już samo uświadomienie sobie popełnionego błędu jest połową poprawy. /Redakcja/

ALE CZEGO "MY" CHCEMY?

Kronikarz fr. Gallus Anonymus w num. 3 "Wzlotu Serafickiego" z r. 1937 narzeka, że "po innych klasztorach naszej Prowincji cisza i rezerwa co do kleryckiej efemerydy"," jak nazywa "Wzlot Seraf." wydawany z powrotem przez Br. Kleryków, a jeden tylko klasztor krakowski ustosunkował się doń krytycznie. Odpowiedź łatwa. U nas pism, a szczególnie swoich , nie czyta się, albo czyta się je bardzo pobieżnie, a nierzadko przegląda się je tylko, przerzucając kartkę po kartce, jeżeli są rozcięte, a do nierozciętych nawet się nie zagląda. Jestem przekonany, że całego "Wzlotu" "od deski do deski" nikt nie przeczytał, a nawet autorzy, których artykuły pomieszczono we"Wzlocie" ograniczyli się do przeczytania swoich tylko utworów.

Autorowi zaś artykułu podpisanego "Redakcja" chodzi o utworzenie pewnego kolegium sędziowskiego wśród czytelników. Nim takie kolegium powstanie, a wiem,że nie powstanie, bo trudno będzie zebrać trzech, takiej bowiem liczby potrzeba na utworzenie kolegium, wypowiem się nie kolegialnie, ale w pojedynkę i wyjawię "Czego chcemy" od "Wzlotu", czego od niego wymagamy i czego oczekujemy. A że przez przeciwstawienie rzecz najlepiej się uwidacznia, przeto najpierw trochę krytyki, a następnie garść uwag jako wyraz pragnień i oczekiwań.

Wydawać pismo jest bardzo trudno, jeżeli już nawet nie chodzi o podstawę materialną, ale tylko ze względów redaktorskich. Na ogół u ludzi spotykamy

wstręt do pióra. A jeżeli ktoś porwie się na napisanie artykułu do jakiegoś pisma, ułatwia to sobie w ten sposób, że obiera za treść coś, co nie wymaga większych, źródłowych studiów, i przedstawia to w formie najłatwiejszej, najczęściej humorystycznej. Temu losowi uległ i "Wzlot" w pierwszym i trzecim numerze... W piśmie takim jak "Wzlot nie powinno się pomieszczać przedruków, a te są tak w pierwszym jak i w drugim a względnie w trzecim numerze.

Tłumaczenia owszem, te niech będą, bo one należą do przedmiotów wytwórczych własnej myśli, z własnej rodzą się pracy, by oddać myśl autora oryginału.

Tytuł pisma - "Wzlot Seraficki" obowiązuje, by w nim przede wszystkim były artykuły z dziedziny seraficklej, franciszkańskiej, a tu oprócz dwóch tłumaczeń z"Opuscula" św. N.O. Fraciszka:"Ojcze Nasz" i "Zdrowaś Mario", nic nie ma, co by wskazywało na główną cechę pisma.

Odpowiedzi Redakcji nie powinny być krytyką umieszczanych artykułów, bo to jest poddawaniem zapatrywań Redakcji i jej krytyki czytelnikom. Niech już wartość artykułu osądzi czytelnik. Odpowiedzi niech dotyczą tylko artykułów niepomieszczonych, krytykując je dla dobra autora, - krytyka redakcji zraża do pisania. - Dziwna jest odpowiedź w num. pierwszym, że artykuł nadaje się do jakiegoś pisma naukowego."Wzlot" jako pismo, na którym mają się wyrabiać pióra, powinien wszystko pomieszczać, a więc rzeczy naukowe, literackie utwory, popularne artykuły z każdej dziedziny. - O wartości poszczególnych artykułów nie wypowiadam mojego sądu, nie krytykując ich. Każdym z nich cieszę się. Wiem, że każdy następny będzie lepszy tak pod względem ujęcia tematu, jak pod względem formy. Niech ten, kto zarzuty stawia, napisze lepszy.

Pismo powinno odpowiadać w pierwszym rzędzie swojemu charakterowi. "Wzlot Seraf." jako tytuł wymaga w pisaniu formy wzniosłej, lotnej, porywającej,bo wychodzi ze środowiska, w którym powinno być najwięcej porywów i zapału. Młodość ma wylatać "ponad poziomy". Nie znaczy to, by pisząc silić się na kwiatki i ozdóbki, bo to jako blichtr nieraz pokrywa braki dokładnej znajomości przedmiotu. Następnie - to "Wzlot Sraficki jest serafickim w podwójnym znaczeniu. Już to jako synonim miłości trzeba, żeby jaśniał cechą tego uczucia. Młodzież ma go najwięcej i powinna go posia-

dać w stopniu płomiennym, bo nie miała ani czasu, ani powodów, które wywołują zawody, a w nich zwyczajnie wyzięb1a się żar miłości. Toż artykuły "Wzlotu" powinny buchać żywiołowym ogniem miłości. - Już to jako określenie naszegoZakonu, którym tak często z dumą posługujemy się, przyjęliśmy go z ducha, który cechował Patriarchę naszego, "Serafina z Asyżu". Niech najpierw wszystkie artykuły przepojone będą tym serafickim duchem, a powtóre niech ich będzie najwięcej właśnie z dziedziny serafickiej. A dziedzina to bardzo obszerna, do tej pory nie wyzyskana, bo mało kto oddaje się studiom franciszkanizmu, który zawiera w sobie wprost kopalnię wskazań na rozwiązanie wszelkich zainteresowań ludzkich i spraw żywotnych. Czy to będzie dziedzina religijna, ascetyczna, społeczna, polityczna nawet. -

Pismo ma być obrazem zainteresowań i życia środowiska, w którym się rodzi. W naszym wypadku - obowiązków zakonnych i nauki, która - można to śmiało powiedzieć - jest wszechstronna. Niechże z tej nauki rodzą się dobre artykuły przez pilne pogłębianie jej. Na życie zakonne jednak składa się po pracy i rozrywka, która niech będzie wyrazem radości, a radość, wesołość niech będzie tłem tworzenia. - Wreszcie, ponieważ "Wzlot" ma "wyrabiać pióra", przeto mogą być w nim pomieszczane artykuły z każdej dziedziny i ujmowane w formę, jaka najlepiej odpowiada danemu autorowi.

Mam nadzieję, że "Wzlot", jeżeli będzie unikał wytkniętych niewłaściwości, a podejmie wyrażone wskazówki, spełni to, czego "My" chcemy. Będzie budził u młodych szlachetny zapał do pracy i życia zakonnie wzorowego, bo jedynie te czynniki mogą coś stworzyć, co jest piękne i wielkie. - Tak więc w górę serca, w górę duch! Wzlatuj!

O. Czesław z Haczowa

Lwów, 13 marca 1937

/Z braku miejsca niestety opuściliśmy względnie skrócili niektóre fragmenty, za co najuprzejmiej przepraszamy Przew. Autora i Wielebnych Czytelników. - Red./

Imieniny

/6 kwiec./ Fr.Celestynowi składamy braterskie, kleryckie życzenia imieninowe.
/8 kw./ O fr. Dionizym pisaliśmy już swego czasu we "Wzlocie". Obecnie czynimy to ponownie, składając mu wiele serdecznych życzeń.
/10 kw./ Fr.Przemysław z dwu względów zasługuje na specjalną o nim wzmiankę i na obfitszą w serdeczność dozę życzeń.Zechce więc w pierwszym rzędzie jako Sekretarz Red."Wzlotu" a następnie jako reorganizator i stabilizator lokalnej sztuki liturgicznej otrzyma od wszystkiej Braci Kleryckiej dużo życzeń największej wydajności swej pracy pro bono publico.
/11 kw./ Bratu Leonowi, którego postać tak dobrze w czasach nowicjackich utkwiła w pamięci każdego z nas, ślemy na dzień św. Leona bratnie życzenia imieninowe i prosimy o modlitwę w intencji nas,Kleryków.
/12 kw./ Fr.Juliuszowi,mistrzowi tonów,składamy w Imieninowym darze "wiolinne melodie" najlepszych,najserdeczniejszych życzeń.
/14 kw./ Wiel. O.Walerian, znany już kaznodzieja-misjonarz raczy przyjąć z okazji Swych Imienin życzenia wielu Bożych błogosławieństw w pracy kapłańskiej.
/16 kw./ Br.Benedyktowi, mistrzowi krawieckiemu,składamy imieninowe życzenia.
/17 kw./ Dużo dobrych życzeń składamy Fr.Rudolfowi w dniu jego Imienin.
/23 kw./ Wiel.O.Jerzemu, wiceprefektowi naszego klerykatu i znanemu sympatykowi "Wzlotu" składają wszyscy Studenci wiele przeróżnych, serdecznych Imieninowych życzeń,
/23 kw./ Wiel.O.Wojciech - to jeden z grona tych"najpierwszych", którzy stali u kolebki "Wzlotu". Toteż teraz niesie Mu ten sam "Wzlot" od swych obecnych pracowników i od wszystkich dawnych a dobrych znajomych specjalne wyrazy pozdrowień,Imieninowych życzeń i prośby o ... przypomnienie sobie o nas.
/25 kw./ Wiel.O.Marek, wielce utalentowany poeta,którego utwory opracowuje muzycznie kompozytor tej miary, co Bolesław Wallek-Walewski, a który fragmenty swego dorobku twórczego podpisuje skromnie we "Wzlocie" nic nie mówiącymi literami X Y - położył wobec "Wzlotu" niezwykle wiele zasług. Był bowiem jego dru-

gim z rzędu redaktorem i, co ważniejsza, ostatnią instancją literackiego estetyzmu. Niechże więc za to wszystko podzięką Mu będą najlepsze życzenia, jakie raczy przyjąć z okazji Swych Imienin.

Red.

/24 kw./ Fr. Fidelisowi, wytrawnemu i niestrudzonemu Redaktorowi "Wzlotu" w dniu Jego Imienin jak najobfitszych błogosławieństw Bożych, by mógł w szerzeniu ideałów franciszkańskich jak najpomyślniejsze osiągnąć rezultaty - życzą

Współpracownicy
wraz z rzeszą Kleryków.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

W.Fr."Sew.Gr."...W zasadzie kryptonimy dopuszczamy, lecz dany autor musi uzyskać na nie osobiście - a nie przez osoby trzecie, czy w sposób pokątny-zgodę Redakcji. Oczywiście wtedy tylko możemy ręczyć za dochowanie tajemnicy. - Pracę wydrukowaliśmy.
W.O.M...Dziękujemy i prosimy o więcej.
W.Fr.H...Wątek tematyczny poważny i głęboko ujęty, lecz, niestety, forma dalej niedomaga. Rażą zwłaszcza "łatwizny" rymowe, polegające na rymowaniu rzeczowników o tych samych końcówkach przypadkowych, lub czasowników o tych samych czasach. Opłaci się jeszcze popracować. - "Majówka" wyjdzie w maju.
W.Fr.A...Widać postęp, przeto wytrwałości!
W.Fr.E...Nie zamieściliśmy z braku miejsca.

Ewentualny materiał do następnego numeru "Wzlotu Serafickiego" prosimy nadsyłać do 15 b.m. - Redakcja zastrzega sobie prawo zmian w rękopisach; nadto - rękopisów nie zwracamy, chyba na wyraźne życzenie autora.

"Wzlot Seraficki"
Adres Redakcji: OO. Kapucyni - Kraków
ul. Loretańska 11

Za zezwoleniem Władzy Zakonnej

